9144

III

Bibl. Jag.

Tłómaczenie z Fedry Racyna
do produkcyi panny Adr. Lesznowskiej

Bogowie! przepaść przedemną straszliwa.
Mój mąż tu wraca, a z nim jego syn.
Widzę jak groźnym wzrokiem mię przeszywa
Straszny ten wspólnik ciężkich moich win.
Będzie on śledził mnie w obliczu świata.
Jakiem rodzica czołem przyjąć śmie:
Serce rozdarte — którem on pomiata,
Oko też pełne — co dlań wzgardą tchnie.
I czy przypuszczasz że choć tak łagodny,
Lecz tak drażliwy na rodzica cześć
Będzie mię szczędził? — przebaczy niegodny
Czyn — żem w dom ojca śmiała hańbę wnieść?
Czyż przezwyciężyć zdoła wstręt bez miary.
A choćby milczał — to żywot mi zbrzydł
Bom nie z tych kobiet bez czci i bez wiary,
Których już czoła nie rumieni wstyd.

Autogr.

A Asnyk.

[Władysław Ludwik]

Dziwny sen miałem z wieczora —
Trwał jakby przez wieczność całą —
Tyś była falą jeziora,
Ja byłem nadbrzeżną skałą.

Nie żałowałem tej zmiany,
Żem skałą a nie człowiekiem,
Marzyłem, żem jest kochany,
A wiek przemijał za wiekiem.

Nie żałowałem, że głuchy
Głaz nic powiedzieć nie może,
Mówiły ze sobą duchy,
Jam widział niebo w jeziorze.

Tyś ciągle padała drżąca
Na moje piersi z granitu,
Złączona wśród lat tysiąca
Węzłami wspólnego bytu.

Kruszyłaś kamienne łono...
A jam się cieszył z zniszczenia,
Bo przeczuwałem spełnioną
Dolę zimnego kamienia.

Wiedziałem, że gdy do końca
Zamiary przywiodłem ziemne —
Żegnając gwiazdy i słońca
Wołyszcza twoje sprawny.

Adam Asnyk

20. I. 1872

3

LWÓW PLAC MARYACKI HOTEL GEORGE LEMBERG d. 20/9 77

~~24/78~~

WŁADYSŁAW BEŁZA

FAC ET SPERA

KSIĘGARNIA. LIBRAIRIE

BUCHHANDLUNG

Pani
Helenie Modrzejewskiej

Jak biała gołębica leć mój listku biały,
I uszczknięty w ojczyźnie do wawrzynów chwały,
Ponieś Polskiej mistrzyni listeczek maleńki,
I hołdy serc rodackich i poklask i dzięki;
Dzięki za te tryumfy których głośne echo,
Tak silnie się odbiło pod ojczystą strzechą,
Taką dumą w ojczyźnie obudziły całej;
Jakby wszystkie tryumfy jej się należały.

Powiedz tej, która dzisiej gwiazdą swoją nową,
Sprzeczając się o podział dwie półkule zową,
Niech pamięta, że pierwsze jej blasków promienie,
Błysły, prawda, na biednej, lecz ojczystej scenie,
I że każdy jej tryumf i każdy laur świeży,
Nie do owych Yankesów lecz do nas należy;
Żeśmy dumni nią, — silni tej prawdy chryzmatem,
Że polska sztuka bierze zwycięstwo nad światem,
Gdy uczy zamorczyków Polka urodziwa,
Jak się z serc lodowatych skrę ognia dobywa.

Nadto, ponieś jej listku, przy bratnim podziwie,
Tę pewność, którą wspólnie z gronem ziomków żywię,
Że ujrzym Ją niedługo znów pełną natchnienia,
Bo wszak nas pożegnała tylko: „Do widzenia!"

Wł. Bełza

Ero cencioso, ero tapino
Ma mi dicevan: bel fancuillino.
Se non avevo che il pane a cena
Era il cor lieto, l'alma serena.
Mamma una fiaba mi raccontava
E mi baciava,
I sonni d'oro dormivo allor
Perchè tranquillo posava il cor.
Un dì la mamma stava piangente
Chè non aveva da darmi niente.
– Mamma, sta zitta, ti rasserena,
Dammi un tuo bacio, questa è mia cena
Mamma una fiaba mi raccontò
E mi baciò
E sonni d'oro dormivo allor
Perchè la pace era nel cor.
Era sul vespro, volgeva a sera
Un dei bei giorni di primavera.
Framezzo a lieto stuolo beato,
Ischiamazzando, correvo il prato.
Il sole allora si nascondeva
E mi piaceva
E mi pareva d'essere un re
Perchè la pace era con me.

Dietro a farfalle che parea d'oro
Correa la turba, gridando in coro.
Io pur correva, ma mi arrestai...
Oh! chi può dire quel che mirai...
Mi parve proprio un angiolella.
Tanto era bella.
Forte m'intesi battere il cor,
Conobbi allora che fosse amor.
Fui da quel giorno sempre pensoso
Perchè mi accorsi d'esser cencioso...
Mamma diceva: – figlio, che hai?
Qui, sul mio core, versa i tuoi guai.
Io sempre muto di tanto in tanto
Rompeva in pianto.
La prima volta che batte il cor,
Esce la pace, entra il dolor.
Oggi da tutti son riverito
Perchè di panno porto il vestito
Ma non ho madre che mi consoli,
Passo i miei giorni dolenti e soli
E la mia faccia ch'era sì bella
Non è più quella
E più non dormo siccome allor
Perchè tranquillo non posa il cor.

GALATI

101, avenue d'Eylau

6.

Z ogrodu w Weronie, z miejsca gdzie znaleziono sarkofag Julietty.

Łaskawej i ukochanej Cioci
ośmiela się przesłać
wdzięczny autor

(Odbitka ze „Świata")

7

TRZY WIERSZE.

*

Biada tym ustom, które miłość kłamią,
Bo kiedy wstanie wiosenna i nowa
I wargi młode pocznie żądzą palić,
Nieskalanego nie odnajdą słowa,
Które się prosić umiało i żalić...
I więdnąc, będą czuć, że choć wre łono,
Już od nich inne wargi nie zapłoną,
Że niekłamaną boleść tylko splamią —
Nieszczęsne usta, które miłość kłamią.

Biada tym oczom, co na rozkaz płaczą,
Bo kiedy przyjdzie ból, co mózgi trawi
I może z piersi młodość wyssać zcicha,
Kamienna żałość, gdzie tylko płacz zbawi,
To łez kłamliwych krynica wysycha.
Jak u szaleńców, suche i ogromne,
W śmierć zapatrzone, dawno snu niepomne,
Błyszczą się głuchym strachem i rozpaczą —
Przeklęte oczy, co na rozkaz płaczą.[1])

[1]) Wiersz deklamowany przez p. Helenę Modrzejewską w Warszawie d. 26 lutego 1891 r.

*

Wiotka i drżąca, ukryta
Na dnie głębokiem mórz,
Piękniejsza róża wykwita
Od bladych ziemskich róż.

Rośnie przy ławie koralu,
Gdzie wieczna cisza i cień,
Gdzie ledwo blaskiem opalu,
Wschodzący znaczy się dzień.

Wie, że jej nigdy w głębinie
Słońca nie dojrzy wzrok,
Stroi się w tęcze, choć zginie
Spowita w wieczny mrok.

Nie ufa i nie czeka,
Lecz się ku światłu pnie...
Tak wschodzi w duszy człowieka
Miłość na zwątpień dnie.

*

4. VII. 90.

Wzięli ją z ziemi na ramiona
I w róże białe otulona,
Zakuta w trumnę ale dumna,
Bo jej nie mogła objąć trumna
Szła pieśń.

Poczęli za nią płakać młodzi,
Że im się taka pieśń nie rodzi,
Że ją ujrzeli cichą w trumnie,
Gdy pośród starców zbiegłych tłumnie
Szła pieśń.

Przeszedł po ludziach szał oręża,
Bo ta co walczy i zwycięża,
Ta, która umie kiedy w truny
Olbrzymów złożą, rwać całuny,
Szła pieśń.

Nieśli ją w ciszy i w żałobie,
Lecz nie złożyli pieśni w grobie,
Bo w białych zwojach, w róż koronie,
Aby z królami być na tronie,
Szła pieśń.

K. M. GÓRSKI.

Kosia Górski z powodu benefisu mego.

H. M.

Za to, że w czasów smutku i posusze
Młody mi ranek rzuciłaś na duszę,
Brzask, który odtąd musi walczyć z nocą,
Że jesteś marom dziecinnym pomocą,
Gdy chcą powrócić w grób ludzkiego łona:
Bądź pozdrowiona i błogosławiona.

Nie dziw się, jeśli pod kraj Twojej szaty
Jeszcze niklejsze od słów rzucam kwiaty
Bo wobec Twojej duszy one jedne
Są mi dość wonne, młode i bezwiedne,
A choć u stóp Twych woń ich prędko skona,
Ty wierz, że będziesz mi błogosławiona.

I Nawpół prozą.

Chciałbym mieć kiedy jaki domek mały
Domek przedmiejski, z wielkim dachem, biały.
Rosłyby rzędem na ~~[illegible]~~ ulicy drzewa,
Lipy i brzozy, w których szczygieł śpiewa,
Rosłyby blisko, ażebym okienko
Otwarłszy, liści mógł dostawać ręką.
Abym wiosenną zbudziwszy się nocą
Słyszał, jak wróble ruchawe świegocą.
Aby mi słowik, gość rzadki i czczony,
Z wieczora, w maju, sypał szklanne tony.

I w sieni na tle czerwonej kotary
Stawiłbym odlew jakiej rzeźby starej,
Jakie florenckie popiersie kobiety,
Lub Maryę Pannę u świętej Elżbiety
Andrzeja della Robbia.

Żadnych gratów.

Chińszczyzn, figurek saskich.... Dużo kwiatów,
Sztychów i w ciemno obitym salonie,
Gdzie jak z kadzielnic bladych, płyną wonie
Mistyczne z hyacyntów, jeden wielki
Obraz. Wieczorem ostatnie kropelki
Światła, gdy ciemność chłonie zorzę krasną,
Na złocie ramy płonią się i gasną.
A przez tę ramę patrzy się w daleką
Jakąś krainę, gdzie błękitną rzeką
Wśród wzgórz sinawych ciche wody cieką.
Tam za kwiatami byłby jeszcze kątek
Dla rozmów cichych, marzeń i pamiątek.
Tam w szczerych zwierzeń bezpowrotnej chwili
– Jak się płacząca wierzba do wód chyli –
Dusza w przezroczu duszy się przegląda.
I tam już serce niczego nie żąda
Chyba muzyki, więc gdy śnieg przytłumi

Gwar ulic, wicher po kominach szumi,
Ażeby trwogę rozpędzić i ciszę.
Niech kto położy ręce na klawisze
I niech popłynie jak rzeka wezbrana
Łzami, do słów Heinego śpiew Szuman'a,
Pieśń o wędrowcu, co lądy i morze
Przebiegł a szczęścia napotkać nie może,
Chopin'a prélude siódmy, jaki zwinny
Menuet Haydn'a, lekki i dziecinny,
Lub gdy ~~[illegible]~~ niebiańskich ukojeń się szuka
Arya z Rinalda i Orfeusz Gluck'a.

I dużo ciszy, pracy i spokoju.....
Porozrzucane kartki po pokoju,
Na półkach książki – najwięcej poetów –,
Pod infoliami zaczętych sonetów
Trochę: najlepsze te co się nie kończą
Jedno warg rymem, gdy się cicho złączą....

Na ścianie jasnej dookoła wszyscy,
Którzy mi drodzy bywali i bliscy
I choć ich dawno, dawno tutaj niéma,
Wciąż błogosławią pracy mej oczyma.

I trochę wiary w siebie, trochę siły,
By módz obronić taki kątek miły,
Trochę nadziei i otuchy miękkiej,
Że troski przejdą, że przetrwa się klęski.
I oczu jakich zaufanych dwoje,
Oczu kobiecych, jasnych jako zdroje,
Oczu, co lśnią się uroczo – i moje,
I im świat więcej szarpie i zazdrości,
Tem więcej wiary mają i miłości.

Miłość, co dzieciom ziemi się uśmiécha
Wszystkim, nie będzież nigdy dla mnie cicha?
Nim się pod grobu ciężki głaz położę,

(Na wpół prozą, ciąg dalszy).

Nigdyż spokoju nie mam zaznać, Boże?

Kiedy zielone morze się układa
W wieczór, mew szarych ciągną groźne stada
I w wielkiem niebie ponad wielką falą
Do swych ustroni spieszą się i żalą,
Że im daleko, skarżąc się w swej mowie.

I jako szczna piana na ostrowie,
Rośnie mi smutek w godzinę powrotów,
Gdy ponad głową usłyszę szum lotów
A duch się pyta, do jakiego brzegu
Pójdzie poszukać, jak mewy, noclegu.

II. Pożegnanie.

Więc znów mi trzeba światem gonić
O pamięć prosić, dłonie ściskać,
A serca w żalach nie roztrwonić
I twarzą zawsze jedną błyskać

I kiedy nowe życie opęta,
Przyniesie nowy trud godzina,
Jak żyć z tem sercem, co pamięta,
Jak ktoś co sercem zapomina.

I wiedzieć co dnia, gdy z wieczora
Wejdą mi gwiazdy wspomnień blade,
Że już na zawsze znikło wczora
I że w nieznane jutro jadę.

A choć się wie, że czucia gasną,*
Po sercach, w zmiennej dnia kolei,
Wierzyć w ich stałość jak we własną,
Oburącz chwytać się nadziei.

III. Spokojność.

Zbudzić się, zerwać, uchylić firanek,
Wyjrzeć w kwietniowy, błękitny poranek,
Gdzie tylko wierzby na toń niebios bladą
Fioletową sieć gałązek kładą....
Obejść kasztany, których pąki lśniące
Nowymi [illegible] łowią chciwie słońce
I główki śmiało w przestrzeń prą błękitną,
Czując, że jutro w śnieżną kiść zakwitną....

Chodzić po słońcu – powoli – jak we śnie
Wokoło sadu, gdzie kwitną czereśnie
U węgła domu przystanąć, posłuchać,
Bo już gołębie zaczynają gruchać.
I wilga gwiżdże w południe nad sadem,
Gdy owad w trawie goni się z owadem.
A w wieczór kiedy gwiazdy wyjdą z toni
Błękitnej, słowik pieśń swą pierwszą dzwoni.

Dziwiąc się smutkiej, księżycowej łodzi,
Co z białem skrzydłem na ocean wschodzi.

Słuchać tej pieśni, która pierś rozpiera
Ogromnej ziemi i w niebie zamiera,
Ginąć w tej woni sadów i w błękicie,
Pić to wokoło budzące się życie
I czuć z wszechświatem, nie pragnąc dla siebie
Serca na ziemi ni gwiazdy na niebie,
Nic nie zamarzyć, nie kochać, nie żądać
W przeszłość się tęsknem okiem nie oglądać
Ani nie czekać, czy z tą nową wiosną
Z mogił zaklętych niezabudki wzrosną
I ufać tylko, że gdy płomyk zgaśnie,
Serce na wieczność – jak na zimę – zaśnie.

I

Venus Victrix

Błądzę po salach sam. W galeryi mrok zapada,
W pośrodku krwawych zórz umiera znowu dzień
I krasne blaski mrą a biała bóstw gromada
Ujęta świętym snem zachodzi zwolna w cień.

Stanęła w progu Noc, otula białe szaty
I kładzie siny mrok na ich klasyczny ład,
A jeszcze świeci wciąż na ciemnem tle komnaty
Rysunek greckich głów i nagich bogiń kształt.

I może blisko już do upragnionej pory,
Kędy niejeden bóg opuści cokół swój.
I ambrozyjskie znów nawiąże rozhowory
A bohaterów tłum w prastary wstąpi bój.

/.

I zda się, bogi już zaczęły uczuy swoje,
Bo w ciszy świętej drga jakby stu lutni szum...
Wtem – u bogini stóp – ozwie się głosów dwoje:
Był to miłosny szept.... Ocknął się niebian tłum –

I wszczął się wielki gwar. Demeter głośno pyta,
Kto się do tajni jej, kto do Eleuzis wkradł?
Jedna melijska śni z uśmiechem Afrodyta,
Że tych kochanków zna od trzech tysięcy lat.

II

Potrzeba dużo bolec nim się zrodzi
Piosnka, co rany serca ułagodzi,

Kochając, długo wątpić, nim się zoczy,
Że miłość drogie rozelśniła oczy,

Nieraz się zrywać i spadać boleśnie,
Nim stanie pomnik, widywany we śnie....

I trzeba wielu ofiar, by zostawić
Smutek po sobie, albo imię wsławić—

I konać trzeba ciężko i rozpacznie,
Zanim się spokój wiekuisty zacznie.

I nieraz walkę z życiem toczą ciemną,
Trzeba do końca cierpieć – nadaremno.

III.

Idę nad morzem, co nieukojone,
Podmuchowe tchnieniom złotego miesiąca,
Wiecznie pierś swoją rzuca w jedną stronę
I o brzeg jeden roztrąca.

I choć przychodzi taki czas, że nocą,
Na nowiu, księżyc pozbędzie promieni,
Tak samo fale się próżno szamocą
A księżyc w górze się mieni.

I żal mój koi ta ciągła wód praca
I chcę być jako fala niewiedząca,
Co w grób się wiecznie cofa i powraca,
Podmuchowa tchnieniom miesiąca.

IV.

Jesienne popołudnia kładą
Na przestwór nagich pól łagodną
Jasność różaną ale bladą: –
Mnie chłodno.

Drzewa się smutnie mienią w złoto
I w czerwień stroją różnorodną,
Patrzą na własny blask z tęsknotą: –
Mnie chłodno.

Wśród uciech sam się myślą straszę,
Gdy liczę gwiazdy w noc pogodną,
Że przyjdzie koniec na dni nasze: –
Mnie chłodno.

V

Biada tym ustom, które miłość kłamią,
Bo kiedy wstanie, wiosenna i nowa
I pocznie wargi młode żądzą palić,
Nieskalanego nie odnajdą słowa,
Które się prosić umiało i żalić
I więdnąc, będą czuć, że choć we łono,
Już od nich inne wargi nie zapłoną,
Że niekłamaną boleść tylko splamią -
Nieszczęsne usta, które miłość kłamią.

Biada tym oczom, co na rozkaz płaczą,
Bo kiedy przyjdzie ból, co mózgi trawi
I może z piersi młodość wyssać z cicha,
Kamienna żałość, gdzie tylko płacz zbawi,
To też kłamliwych krynica wysycha.
Jak u szaleńców, suche i ogromne,
W śmierć zapatrzone, dawno snu niepomne,
Błyszczą się głuchym strachem i rozpaczą,
Przeklęte oczy, co na rozkaz płaczą.

VI.

Zbudzić się, zerwać, uchylić firanek,
Wyjrzeć w kwietniowy błękitny poranek,
Gdzie tylko brzozy na niebios toń bladą
Fioletową sieć gałązek kładą.....
Obejść kasztany, których pąki, lśniące
Nowymi soki, łowią chciwie słońce
I ~~[illegible]~~ główki śmiało w przestrzeń prą błękitną,
Czując, że jutro w śnieżną kiść zakwitną.....
Chodzić po słońcu, powoli, jak we śnie
Wokoło sadu, gdzie kwitną czereśnie,
U węgła domu przystanąć, posłuchać;
Bo już gołębie zaczynają gruchać
I wilga gwiżdże w południe, nad sadem,
Gdy owad w trawie goni się z owadem.
A w wieczór, kiedy gwiazdy wyjdą z toni
Błękitnej, słowik pieśń swą pierwszą dzwoni,

Dziwiąc się smukłej, księżycowej łodzi,
Co z złotym żaglem, na ocean wschodzi.

Słuchać tej pieśni, która pierś rozpiera
Ogromnej ziemi i w niebie zamiera,
Ginąć w tej woni sadów i w błękicie,
Pić to wokoło budzące się życie
I czuć z wszechświatem; nie pragnąc dla siebie
Serca na ziemi ni gwiazdy na niebie,
Nic nie zamarzyć, nie kochać, nie żądać,
W przeszłość się tęsknem okiem nie oglądać,
Ani nie czekać, czy z tą nową wiosną
Z mogił zaklętych, niezabudki wzrosną
I ufać tylko, że gdy płomyk zgaśnie,
Serce na wieczność, jak na zimę, zaśnie...

VII. Nawpół prozą.

Chciałbym mieć kiedy jaki domek mały,
Domek przedmiejski, z wielkich dachem, biały.
Rosłyby rzędem na ulicy drzewa,
Lipy i brzozy, w których szczygieł śpiewa,
Rosłyby blisko, ażebym okienko
Otwartszy, liści mógł dostawać ręką.
Abym wiosenną zbudziwszy się nocą,
Słyszał, jak wróble ruchawe świegocą,
Aby mi słowik, gość rzadki i czczony,
Z wieczora, w maju, sypał szklanne tony.
I w sieni na tle czerwonej kotary
Stawiłbym odlew jakiej rzeźby starej,
Jakie florenckie popiersie kobiety
Lub Maryę Pannę u świętej Elżbiety
Andrzeja della Robbia....
Żadnych gratów,
Chińszczyzn, figurek saskich,.... Dużo kwiatów,
Sztychów i w ciemno obitym salonie,

Gdzie, jak z kadzielnic bladych, płyną wonie
Mistyczne z hyacyntów jeden wielki
Obraz. Wieczorem ostatnie kropelki
Światła, gdy ciemność chłonie zorzę krasną
Na złocie ramy płoną się i gasną.
A przez tę ramę patrzy się w daleką
Jakąś krainę, gdzie ~~…~~ błękitną rzeką
Wśród wzgórz sinawych ciche wody cieką.
Tam za kwiatami byłby jeszcze kątek
Dla ~~…~~ rozmów cichych, zwierzeń i pamiątek.
Tam w szczerych zwierzeń bezpowrotnej chwili, —
Jak się płacząca wierzba do wód chyli —
Dusza w przezroczu duszy się przegląda.
I tam już serce niczego nie żąda,
Chyba muzyki; więc gdy śnieg przytłumi
Gwar ulic, wicher po kominach szumi,
Ażeby trwogę rozpędzić i ciszę,
Niech kto położy ręce na klawisze
I niech popłynie, jak rzeka wezbrana

Łzami, do słów Heinego pieśń Schumanna,
Pieśń o wędrowcu, co lądy i morze
Przebiegł, a szczęścia napotkać nie może,
Chopina prélude siódmy, jaki zwinny
Menuet Haydna, lekki i dziecinny,
Lub, gdy niebiańskich ukojeń się szuka,
Arya z Rinalda i Orfeusz Glucka.

I dużo ciszy, pracy i spokoju...
Porozrzucane kartki po pokoju,
Na półkach książki – najwięcej poetów –
Pod infoliami zaczętych sonetów
Trochę: najlepsze te, co się nie kończą.
Jedno warg rymem, gdy się cicho złączą...
Na ścianie jasnej dookoła wszyscy,
Którzy mi drodzy bywali i bliscy
I choć ich dawno, dawno tutaj niema,
Wciąż błogosławią pracy mej – oczyma.

I trochę wiary w siebie, trochę siły,
By módz obronić taki kątek miły,
Trochę nadziei i otuchy męskiej,
Że troski miną, że przetrwa się klęski.
I oczu jakichś zaufanych dwoje,
Kobiecych oczu, przejrzystych jak zdroje,
Oczu co lśnią się urocze — i moje.
A im świat więcej szarpie i zazdrości,
Tem więcej wiary mają i miłości.

Miłości, co dzieciom ziemi się uśmiecha
Wszystkim, nie będzież nigdy dla mnie cicha?
Nim się pod grobu ciężki głaz położę,
Nigdyż spokoju nie mam zaznać, Boże?
Kiedy zielone morze się układa
W wieczór, mew szarych ciągną głośne stada
I w wielkiem niebie ponad wielką falą
Do swych ustroni spieszą się i żalą.

Że im daleko, skarżąc się w swej mowie.

I jako huczna piana na ostrowie,
Roźnie mi smutek w godzinę powrotów,
Gdy ponad głową usłyszę szum lotów
A duch się pyta, do jakiego brzegu
Pójdzie poszukać, jak mewy, noclegu.

Wspomnienie szkolne

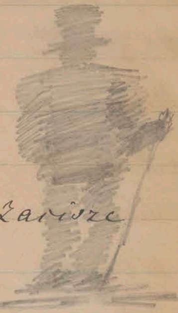

Pani Helenie Modrzejewskiej.

Byłem wtenczas w Sekundzie. W studenckie zacisze
Wrzuciła stara baba niebieskie afisze.
Litery wielkie, widne na dystans daleki
Dziś z córką Kapuleta — umrze tam Montekki.
W teatrze dla młodzieży biesiada prawdziwa
Jako Julja wystąpi Modrzejewska Diva,
Rapackiemu zaś przypadł Lorenz w rewerendzie,
Romeo Ładnowskiemu, a Merkucjo Bendzie;
Ekerowej, co burzą trzepie jak przekupka
Przeznaczył rolę Marty pan baron Skorupka.
Byłbym pobiegł i kupił, przyznaję tę szczerze,
Za półtora złotego miejsce na parterze
Lecz zwyczajnie u młodych — chęć możności prześciga,
A za cały majątek nie miałem fenyga.
Spadłem z szczytu uniesień, do rozpaczy szczytu,
Gdyż u pana Cypcera nie miałem kredytu.
Rezygnacya! Ten wyraz starszym tylko znany
Nie chce o nim nic wiedzieć umysł młodociany!
Pragnę zdobyć potrzebne na bilet pieniążki
Więc przerzucam ubrania i przeglądam książki,
Czyby czasem nie można w nich znaleźć ratunku
Lecz wszystko lub potrzebne, albo w złym gatunku;
Nie mogąc za nie ceny biletu osiągnąć
Chciałem u mojej babki pożyczkę zaciągnąć.

Mieszkałem właśnie u niej. Zachodzę z daleka,
Ale z oczu poznałem, że mnie zawód czeka.
„Uczyć już ci się nie chce, nie od dziś ja patrzę
Że książki zaniedbujesz, myślisz o teatrze.
Zawsze w smutnych marzeniach, niby poetyki,
A wczoraj pan profesor mówił Jakowicki
Że promocyi nie będzie, że się kiepsko uczysz,
Że w szkole nie uważasz i po mieście się włóczysz."
~~Wtem~~ Tu podano wieczerzę. Nie jadłem kotleta
Lecz myślałem o pięknej córce Kapuleta.
I nie mogłem już wcale tej myśli odegnać
Dziś jeszcze Modrzejewską ujrzeć i pożegnać!
Tymczasem z kotletami zniknęły półmiski,
A wniesiono okrągłe, dymiące sosyski.
Był w Poznaniu w maleńkiej, ciemnej kamienicy
Na skrzywionej i ciasnej Wrocławskiej ulicy
Jakiś Niemiec, co robił te przysmaki skromne,
Szkoda, jego nazwiska już więcej nie pomnę.
Dziś Zakrzewicz bijący okazowe wieprze
Robi pewno sosyski niż ów Niemiec lepsze.
Bez musztardy nie dobre, bez świeżego chleba,
A także na gorąco spożyć je potrzeba.
Właśnie brakło musztardy. A więc szybko po nią
Niech młode wnuka nogi bez zwłoki pogonią.
Babka daje dwa złote, chwytam je w uściski
I zostawiam niebawem babkę i sosyski,
Biegnę nie po musztardę, lecz w teatru progi.
Niepomny że to dla mnie wydatek za drogi;

Że mnie zawsze pozbawi Pani Modrzejewska
Siedem smacznych windbeutli, jednego Kongreska,
I że babki uwaga całkiem była słuszna,
Że na naszym parterre atmosfera duszna,
Że chcąc patrzeć na scenę i sali kagańce
Nadepną ci na nogi, w bok dadzą szturchańce,
Ja byłem w siódmym niebie, gdym w roli Kochanki
Podziwiał wdzięk i geniusz poezyi Kapłanki.
A jednak wyznać muszę, chociaż to boleśnie,
Żem Henrykę Bendównę kochał równocześnie.
Lecz to zmienności nie była i nie moja wina
Serce próżnować nie chce, gdy budzić zaczyna. —
Nie każdego wieczoru Diva jest na scenie
Zatem, gdy jej nie było ubóstwiałem Henię!
Raz na Bendy benefis — pamiętam Niedziela —
Przedstawiano Schillera cudny dramat: Tella.
W nim jakby na przekorę — lub ironią dziką
Wystąpiły obiedwie: Helena z Henryką.
Helena czy z umysłu, czy z jakiejś swawoli
Całowała Henrykę — choć nie było w roli.
Poznania! okolico! I ty świecie stary
Nigdy się nie spotkały ust piękniejszych pary!
Ja nie wiem cobym wolał, gdybym mógł wybierać
Heni dawać całusy, czy za nią odbierać?
O trudno zdobyć miejsce na ciasnym parterze,
Gdy się dwustu młodzieży zapalczywej zbierze.
Gdy się ścisną w szeregi silne, jednolite,
A trudniej jeszcze pono utrzymać zdobyte!

Przed zaczęciem teatru, długie dwie godziny
Już parter zapełniają studentów czupryny.
Serce bije jak młotem, wzrok w scenę zwrócony,
Rychło dzwonkiem Boguśki da znak upragniony.
Tak w lesie, gdy myśliwy wypatruje oczy,
Rychło łania prześliczna na strzał mu wyskoczy,
Już ogar gra nad uchem, już gałęź szeleszcze
Słychać w koło zwierzynę lecz nie widać jeszcze.
Ktoby chciał Modrzejewską pod niebo wynosić
Równie by jasność słońca dziennego mógł głosić!
A jednak gdyby Szekspir zimny grób porzucił
I ujrzał ją na scenie, onby się zasmucił.
Gdyby widział jak inni odgrywają miernie
Ona jedna uczucia i myśl odda wiernie,
Ona jedna co cienia żadnego nie minie
I stoi z nim porówno w geniuszu wyżynie,
Jak mistrz muzyk, gdy zagra dzieło artystyczne
Martwe znaki przetwarza w melodje prześliczne,
Struny smyczkiem pociągnie i wszystko zagłusza,
Drżą skrzypce, drży artysta, drga słuchaczów dusza,
Słuch pobił wszystkie zmysły i rozum wygania,
Tu równy z mistrzem twórcą - jest mistrz wykonania.
Tak ona myśl Szekspira odda znakomicie -
On daje tylko słowa - ona stroi w życie.
Gdyby Szekspir ją ujrzał, i poznał zalety -
On, co nigdy nie widział na scenie kobiety,
Gdyby widział w konaniu Julję idealną,
Obłąkaną Ofelję i Makbeth fatalną

Byłby pragnął, by każdy z aktorów na scenie
W głębokich jego dziełach, dorównał Helenie,
Lecz że to jest ideał w świecie nie dosięgły,
Wróciłby tem smutniejszy w grób zimny, ostygły,
Do popiołów szroszi, do podziemnych chłodów,
Gdzie nie ma żądz i pragnień i nie ma zawodów.
Lecz pierwej złożył pokłon i myślą i głową
Fenix wszystkich poetów, przed sztuki królową. —
Na zdobytem więc miejscu miałem sny uroczne
Słuchałem dźwięku głosu, wielbiłem warkocze,
Aż skończył się akt piąty i wyszedłem z gmachu
I pozbyłem marzenia, a nabyłem strachu.
W kamienicy Dangerów, na małych Garbarach
Czekała na musztardę babka w okularach.
Sosyski jeszcze stały, zimne, pomarszczone
Lecz bardziej było czoło babki nasrożone.
„Bogu dzięki, żeś przyszedł, doczekałam ptaszka"
I parą gniewnych oczu błysnęła z pod daszka.
„Jesteś nicpoń i urwisz, spojrzenie masz harde,
Nie myśl że cię raz jeszcze poślę po musztardę.
Takie smaczne kiełbaski i takie gorące,
Doprawdy całą stratę z pensyi ci potrącę."
Gdym wysłuchał całego przygan kołowrotka,
Całuję babki rękę oddając półzłotka,
I przyrzeczeń poprawy takżem nie poskąpił,
Aż na gniewną twarz babki - miły uśmiech wstąpił.
„Dobrze że już wyjechała komedyantów chmara,
Bierz teraz twoją pensyę, na miesiąc talara,

A coś winien daruję, jeśli odtąd skromnie
Nim na miasto wybiegniesz – spytać przyjdziesz do mnie."
Była Środa. Więc szkoły nie ma po obiedzie
Mnie talar niespokojny znów na miasto wiedzie.
Chciałem idąc przez Rynek wstąpić do Pfitznera,
Ale często profesor pan Szuli tam zaziera,
A także pan Wituski ze strasznym pierwiastkiem,
Więc trzeba u innego uraczyć się ciastkiem,
Nie chcąc mieć profesora nieprzyjemnym świadkiem.
Wtem kolega Antoni spotkany przypadkiem ×
Rzekł, że mogę z talara – lepszy mieć użytek
Kupując u służącej włosów dziwny zwitek.
Serce mocniej zabiło! Niespokojny spieszę
Do tej co wonne włosy Dnia każdego czesze.
Właśniem trafił szczęśliwie. Baba tłusta stara,
Z jednym zębem, zepsutym – istotna maszkara,
W izbie brudnej i dymnej, z garnkami na półce
Sprzedała zwitek włosów w cieniutkiej bibułce.
Zbiegłem szybko po schodach. Krzyknąłem „Victoria"
Choć mię wodą oblały brzydkie akcesorya,
Alem włosy miał w ręku, te włosy kochane,
Które dzisiaj zdobiły jej czoło świetlane!
Ktoby wtenczas te włosy chciał kupić odemnie,
Mógłby świat cały, wielki × oddawać daremnie!
Schowałem w medalionik, na sercu umieścił
I sto razy na dobę całował i pieścił!
Ach! tak byłem szczęśliwy! całe dwa tygodnie!
Aż mię któryś kolega przekonał dowodnie,

Że Diva nie widziała tej baby na oczy,
A ta włosy sprzedała z swych własnych warkoczy.
Fe! ta baba szczerbata, sporna i tłusta
Ile razy przypomnę to ocieram usta!

Detroit Mich. w Styczniu 1893 r.

Józef Tłowiecki

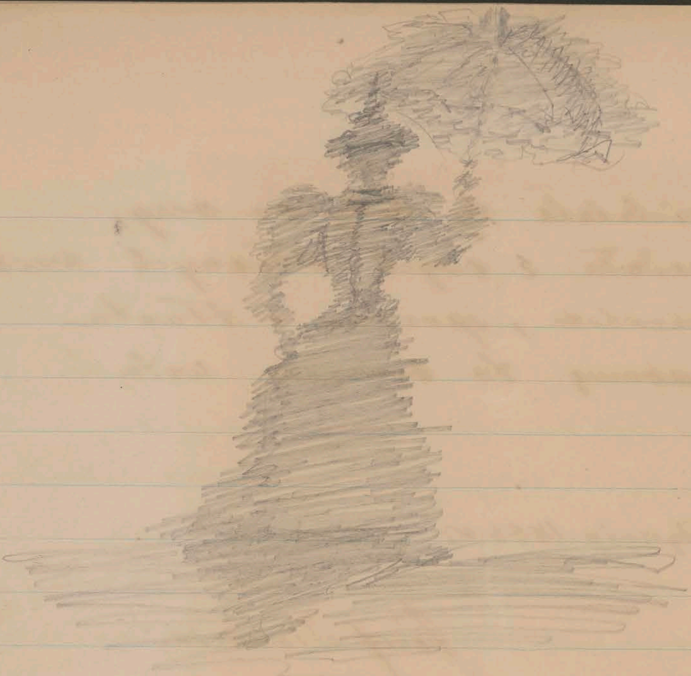

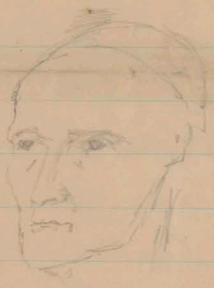

rkps 9144

Paní Heleně Modrzejewské.

Jde ve svět umění a zázrak Váš jde před ním:
tu něhu nejvyšší, jak staletí ji snila,
Jste v ryzí ženskosti, ó Paní, vyslovila
Svým vzdechem jediným a pohledem Svým jedním.

Svět klesá v propasti a shonem zmírá všedním —
však nad tím všednosti je Vaše bytost bílá,
v ní božství s titánským a s něhou září síla,
jež lidstvo obrodí i hrobem nad posledním.

My často zoufali, že bídní jsme a malí,
že doba nynější je únavou a spleenem,
kde hesla proroků se v tmu a prázdno valí.

A přece velkou je a božství hledí na ni,
svit věčné veleby jde němým jejím stínem —
neb ona zrodila Vás, nesmrtelná Paní!

Jaroslav Kvapil

V Praze, 17. dubna 1891.

9444

Nokturn.

Księżyc sunął swoją srebrną gondolę
Wśród szafirów otchłani,
Rozjaśniony przez Twe oczy sokole,
Co go wiodły, niby tęskne pachołę,
Do marzenia przystani....

Tyś marzyła znać pogodnie, różowo,
Bo błękity i ziemię
Zalegała cisza, wielka jak słowo;
Które nocy być kazało królową
W gwiazd promiennym djademie....

Chwilę dumań Twoich wielbiąc świat cały
Wstrzymał oddech w pokorze...
Zmilkły wiatry – gaje śniły w mgle białej –
Wszystkie ruchy, wszystkie głosy czekały
Na Twój uśmiech – na zorzę....

Czasem tylko błyskawicy ptak blady
Przebiegł rajskie ogrody,
Wyprawiony przez aniołów na zwiady:
Czy Ci w sercu nie przynosi kto zdrady?
I nikt z wróżbą pogody...

Byłże gdzie dźwięk taką pyszny osnową,
By śmiał musnąć Twe uszy?
Drgnąłem... Lecz Ty śniłaś nadal różowo,
W takiej ciszy – żem ja za grom wziął słowo
Drżące szeptem w mej duszy....

Wacław Somian

1876.

Księżyc sunął swoją srebrną gondolę
Wśród szafirów otchłani,
Rozjaśniony przez Twe oczy sokole,
Co go wiodły, niby tęskne pacholę,
Do marzenia przystani.

Tyś marzyła snać pogodnie, różowo,
Bo błękity i ziemię
Zalegała cisza, wielka jak Słowo,
Które nocy być kazało królową
W gwiazd promiennym djademie.

Chwilę dumań Twoich wielbiąc świat cały
Wstrzymał oddech w pokorze...
Zmilkły wiatry - gaje śniły w mgle białej,
Wszystkie ruchy, wszystkie głosy czekały
Na Twój uśmiech - na zorzę...

Czasem tylko błyskawicy ptak błędny
Przebiegł rajskie ogrody,
Wyprawiony przez aniołów na zwiady:
Czy Ci w sercu nie przynosi kto zdrady? -
I nikł z wróżbą pogody..

Pytki gdzie dźwięk taką pyszny osnową
By świat musnąć Twe uszy?...
Drżałem... Lecz Ty... śmiałaś nadal różowo
W takiej ciszy, żem ja za grom wziął słowo
Uwielbienia mej duszy.

Wacław Łanin

1876.

Dzień i noc.

Kiedy mi serce radośnie bije
Źrenica pała szczęścia promieniem,
Gdy dusza balsam pociechy pije
Znękana długich smutków istnieniem, -
Z radością widzę ten dzionek biały,
Słyszę śpiew ptasząt i flet pastuszy...
Zda mi się rajem świat boży cały...
I wszystkiej szczęścia użyłbym mocy
By dnia nie puszczać w objęcia nocy -
Bo dzień w mej duszy!

Lecz kiedy smutki serce zakrwawią,
Troska wykwitnie blado na twarzy,
Gdy się źrenice obie załzawią
I zimna bólu uczucia zważy -
Smuci mnie każdy słońca promyczek,
Bo promień szczęścia zagasł nademną...
Wszystko mnie smuci: słowik, strumyczek -
I wszystkiej bólów użyłbym mocy
Aby dzień cisnąć w objęcia nocy -
Bo w duszy ciemno!

[illegible]

Wstawaj słonko!

Wstawaj słonko złotowłose!
Z tobą dzień w mej duszy wstaje!
Nim wypijesz z kwiatów rosę,
Nim rozbudzisz senne gaje
I doliny i ruczaje –
Moja dusza hymn ci daje!

Wstawaj słonko złotowłose!
Ze skowronkiem pieśń ci niosę!
Już twój zwiastun, świt różowy,
Strzaskał czarnej mgły okowy,
Jak w mej duszy świt nadziei
Rwie pęta złych kolei...

Wstawaj słonko! Świt różowy
Zbudził lilie do rozmowy
I odchylił róż kielichy
By ci hymn szeptały cichy
Starzec zerwał się z pościeli
Trzepoce się i weseli,
Czeka, rychło promyk strzeli,
Do słonecznej drży kąpieli...

Pod błękitnym nieba dzwonem
Z ~~[illegible]~~ sercem pieśnią nastrojonem
Czekam na cię, wstawaj słońce!

Świadcz, że w jasnym świata drżeniu,
Z gorejącą pieśnią w tonie
Chcę być sercem, do serc drżenie!
Zaśpiewałem... piosnka tonie...
Płyną, grają tony drżące
I zamilkły... znikąd echa!
Witaj słonko! tyś pociecha!
Pierwszym blaskiem na podzięke
Olśnij pieśńcę i piosenkę!

Wacław Laniar

Róża.

W zaklętém kole swój własnéj woni
Samotna róża, dziecię ustroni,
Pełnią dziewiczéj krasy przepychu
Słońcu, z kroplą rosy w kielichu,
Jak miłość, kiedy łzę szczęścia roni.

Jutrznia, gwiazd róża, po brzasku chwili
W niéj odkwitała; orszak motyli
Na pierś jéj wachlarz skrzydeł kładł złoty,
A gdy ją słowik wiódł w raj tęsknoty
Lilje aniołów nie śniły miléj.

I lśniąc barwami coraz żywszemi
Róża, bez wiedzy że gad się pleni,
Że być za szczęście wdzięczną potrzeba, –
Dla ziemi – była uśmiechem nieba,
Dla niebios – uśmiechem ziemi.

Lecz gdy sierpniowe nadeszły skwary,
Gdy ogień z nieba padł na obszary:
Pobladły nagle różane chwile...
Odarta z blasku, w tumanu pyle
Królowa, poszła między ofiary.

Żar jej wypalił plamę na czole...
I nie płakały na jej niedolę
Ni srebrny obłok ni wonna rosa...
Jednem się słońcem zdały niebiosa,
Róża, łzą krwawą na łez padole.

Smutna, dotknięta grotem cierpienia
Kochanka słońca gasła bez cienia...
Lecz duszą całą w lazuru wstędze
Ze wspomnień snuła, nadziei przędzę -
I to chroniło ją od zwątpienia.

Aż minął spieki czas. Na błękicie
Zapłonął, w sinych błyskawic świecie,
Obwołan ciszą, majestat burzy....
Wówczas w otchłanie płynął szept róży:
„Witaj o! straszna! w tobie jest życie!

I przeszła burza gromów koleją...
Świat cały odżył... łany się śmieją..
A róża?

Z kroplą deszczu śród łona
Z łodygi wątłej wichrem strącona
Umarła... z życia nadzieją.....

Z jesiennych pieśni.

„Jak smutno dokoła! jak tęskno dokoła!"
Wiatr świszcze te słowa i serce je woła.
Posępne strumienie dźwiękami ich płaczą
I liście pożółkłe na piasku je znaczą..
To jesień! to jesień! - Patrz, w zwiałe źrenicy
Zamgłonej, łza błyszczy żałosnej tęsknicy
A świat jej nie może uronić... Niech czeka!
Łzę wiosna osuszy, choć wiosna... daleka.
Przyroda niedawno tak świeża... dziś, kona...
Dopiero dziewica różami wieńczona
Dziś w szatach spłowiałych - mdlejąca, na schyłku
Astrami skroń zdobi w ostatnim wysiłku.
A róże? - Spójrz, stoją bezlistne ich pręty
Patrząc na kwiatów opadłych korale...
- Tak sterczą masztami strzaskane okręty,
Gdy wokoło krwią ofiar rumienią się fale...
Przyroda obiada! Już spowił się szary
~~Mgły~~ Mgły całun... szkielety drzew niosą na mary,
Kaliny krwią płaczą... gdzieniegdzie, jak świecznik
Zdobiący katafalk, połyska słonecznik...
Sikorki i zięby zawodzą po krzakach,
A kruki w dal ciągną w żałobnych orszakach...

- - - - - - - - - - - -

Tam… wicher stos liści prowadzi za sobą…
Karawan… sierocą osnuty żałobą…
Północy dech zimny zaprzęga doń konie
Tumanne, skrzydlate… śnieg z chrapów im zionie…
Szarpnęły - i pędzą przez pola, ugory,
Gdzie grusze stanęły jak krwawe upiory,
Gdzie rżyska oczyma podciętych traw, kłosów,
W obłoki się patrzą szukając niebiosów…
Gdy lasem przechodzą schylają się drzewa…
Gałęzi grad spada, liściana ulewa,
Mchów strzępy i wrzosów, jarzębin baldachy,
Konary się łamią i jęczą jak strachy.
Trzask… łoskot… znów cisza… dźwięk tylko dolata
Jak dzwonów rozbitych…. to dzięcioł kołata.
Już orszak pogrzebny daleko, na polach,
Wron stada mu kraczą na smutnych topolach.
Zatrzymał się nagle. W pajęczyn koronie
Woń róży wiosenna przeleci, przewionie,
I welon srebrzysty da zmarłej na skronie…
Co? drgnęła? Czyli to ostatnie jej tchnienie?
Ocknięcie z letargu? nadzieja? wspomnienie?
Już szeptem owiany lśni pączek rumiany
I bzowy krzew kwieciem powtórnem migoce…
O biada wam, biada! wy kwiaty sieroce!

Co wreszcie ostatnią nadzieją przed skonem
Umiera z nią razem, nie zrodzi się płonem!
Zwodniczy wiew przepadł... Pogrzebu woźnica
Rwie kwiaty i rzuca umarłej na lica
I pędzi przed siebie z nieszczęsną... Pognębi!
Cmentarzem jej ziemia, mogiłą - śnieżyca...

\- - - - - - - - - - -

A w dali jezioro kołysze toń bladą,
Czuwając nad śpiących jaskółek gromadą,
I gra im pieśń uzkłaną, by śniły wiośniano,
By która z głębiny nie wyszła za rano...
Niech tylko cieplejsze otoczą świat błyski,
Ptaszyny wylecą ze srebrnej kołyski,
Okrążą ją, wdzięczne, muskając toń z lekka
I wiosnę obwieszczą... Lecz wiosna... daleka...

Wacław Damian.

Z wiosennych pieśni.

Ubrana w blaski aniołów ręką,
Sławiona wszędy i w każdym czasie,
Tyś najpiękniejsza dla mnie, wiosenko,
W niewiadomości o własnej krasie.
Ani się możesz przejrzeć w krynicy –
Bo jeszcze mętna powodzią z gór;
Ani w słonecznej nieba źrenicy –
Bo jeszcze łzawo patrzy z za chmur;
Ani w powietrza cichej przestrzeni –
Bo jeszcze zefir z mgłą wodzi tan;
Ani w zroszonej łanów zieleni –
Bo jeszcze słabo szumi się łan;
Ani w perłowym lilii dzwonie,
Bo jeszcze pączek tuli go w śnie;
Ani w zwierciadlanem śpiewaka tonie...
Tam się nie przejrzysz wiosenko, nie!
Lecz znam zwierciadło z uroków siłą,
Coby ci wdzięki twe odsłoniło.
Gdybyś ku niemu zwróciła lica..
Nosi je w sercu śliczna dziewica..

Jednak, kto ona jest?: nie wymienię,
Bo by to dla nas było ze stratą:
Bo by cię, wiosno, jedno przejrzenie
Zmieniło w piękne lecz skwarne.... lato.

Wacł. Samian

{ Si je connaissais un homme plus digne
que Vous, c'est à lui que je présenterais mes chansons.

Panu Karolowi Chłopowskiemu
poświęcam na pamiątkę
te kilka wierszy, skreślonych z prawdziwego zdarzenia.

× × ×

U Matki staruszki był syn ukochany,
Wielbił ją, lecz sztukę nad wszystko przenosił —
A choć był od kolebki na nędzę skazany,
Choć burze losu z korną rezygnacyą znosił....
Lecz dusza młodzieńca namiętna ognista
Z której wiernie nadzieja jak lawa wytryska —
Potrącała go w życie niedoznanych wrażeń,
Ścieżką jasną, kwiecistą, najsłodniejszych marzeń! —
I raz poszedł do Matki: rzekł — "Matko jedyna!
„ Idę w świat — pragnę sławy — opuścić cię muszę — „
„ Pobłogosław! a kiedyś przyjdzie ta godzina
„ Że poznasz — jak niezmierną miłość w piersi duszę!... „
Zadrżała Matka — i składając ręce
Jakby do modlitwy, rzekła: "Synu mój jedyny!"
(O Boże! ja tę chwilę dotąd w duszy święcę,
I niemogę zapomnieć rozstania godziny.)
„ Chcesz mnie rzucić? powiedz, czyż tu żyć nie możesz „
„ Czyż kraj tam piękniejszy, czyż lepsi tam ludzie — „
„ Nie znajdziesz tam serca, goryczy przysporzysz —
„ Zapomnisz o Matce.... niepodołasz w trudzie
„ Bo ci świat ześle pęta pracy niedoznanej. —
„ Jak łódź rozbita wśród burzy wezbranej;
„ Ginąc w jej odmęcie — wspomnisz te [illegible]
„ Które zimno opuszczasz — i przeklniesz swe życie.
„ Puść mię Matko, powrócę — ty nie znasz mej duszy!...
„ O znam cię "odrzekła" więcej jak ty siebie —
„ Przywiązania Matki żaden wiek niewzruszy! —
„ Przeczucia tak pewne, jak gwiazdy na niebie —
„ Tylko dziś czarną chmurą tak serce osłania,
„ Tak mi gorzko w tej chwili rozstawać się z tobą —
„ Że gdy pomnę dla myśli twą przeszłość odsłania —
„ Widzę ścieżkę przyszłości okrytą żałobą....
„ Zostań Synu! posłuchaj — Matki serce
„ Niemyli się, gdy idzie o los jej dziecięcia! —
„ Nie znasz złośliwego życia i jego oszczerce,
„ Miłość Matki dla dziecka sięga nad pojęcia....

„Zostań, my z tobą, ręka w rękę — we dwoje
„Będziemy się wspierać — będę żyć dla ciebie —
„Pracuj myślą, odżyj moim rojem —
„Synu! ja tak mało pożądam dla siebie! —
I drżącą ręką za szyję go objęła —
W jej oczach widać było taką rozpacz duszy —
Że gdy do macierzyńskich piersi przycisnęła,
Zadrżał — Kogoż boleść Matki nie wzruszy? —
A sztuka! — wspomniał ją ... i zimno spoglądał.
Nie wiedział czem marzył — nie wiedział co żądał —
Zwrócił oczy na Matkę ... łzy się potoczyły —
Wtedy przyklęknął u nóg jej — i wziąwszy jej dłonie
Których śnieżną białość ostre łzy skropiły
Ścisnął je — i ukrył w nich gorące skronie. —
A Matka? matka, ta święta istota
Modlitwę — szepcąc znów drżącemi usty —
Z pasma życia jej pękła jedna nitka złota!
Dla niej świat bez syna, był już zimny, pusty....
A Poeta co? Poeta — poszedł z łzą w źrenicy,
Mając całą ufność w marzeniu i w Bogu —
I podróż mu się zdała tchnieniem błyskawicy
Gdy znużony i głodny stanął w obcym progu.
A Świat co? świat, przyjął go życzliwie
Bo miał imię, jedyny spadek po rodzicu —
Poznano się nań grzecznie, zimno lub kłamliwie
Okazywano dobroć w obojętnem licu.
A gdy konał z głodu, gdy wśród ostrej zimy
Wyrzucał z ust przekleństwa — nie ulotne rymy —
Wówczas go moraliści pod opiekę wzięli
I Korporterskie gazet w ręce mu wcisnęli —
Zadrżał od wstydu — lecz pod ciężarem nędzy
Wziął się tyle ostro — jak tonący brzytwy.
I chcąc dobyć nić życia z poplątanej przędzy
Na miejskich ambonetów rozpoczął gonitwy....
I długo, długo z głodu z zimna drżący
Przebiegał miasto, wołając „Kupcie me gazety!"
A świat co? świat! był obojętnie milczący
Na łzy, rozpacz i nędzę biednego Poety.
I tak przeszła zima — z wiosny odrodzeniem
Jeszcze raźniej młodzian w Boży świat spoglądał! —
Chciał lepszego zajęcia — zbyli go milczeniem —
Szedł do innych, i miejsca stałego zażądał...
I cóż świat mu powiedział? Mówili go ludzie
Że nie umie pracować, ma wady, leniwy —
Że na obcych polega nie na własnym trudzie —
Że jest dumny, niestały nawet nieżyczliwy....

A Poeta co? Poeta! gdy doń tak przemówili
Czego myśli tak wszystkie natchnieniem pałali –
On nie widział ni ludzi, ni nędzy, ni siebie
On utonął swą duszą w takich marzeń niebie
Że zda się gdyby Byron powstał z swego grobu
I wyrzekł w ten raz myśli – przyklęknąłby u progu! –
A świat co? świat! zlitował się nad biednym
I w Tompierskich Koszarach umieścił Poetę –
I znów on pośród innych był samotnym, jedynym
Skazanym na cierpienie, gorycz i dietę –
Lecz i tam on nie wytrwał, bo gorąca dusza
Niezdolna przeciwności – i gdy los nią miota,
Gdy życia codziennego dręczy go katusza
Wówczas złamie zarówno czy podłość, czy cnota! –
A świat co? świat! dał mu w Klepsi zajęcie
By się uczył zamiatać – zabił talent w sobie –
I szedł do nowej pracy jak zbrodniarz na ścięcie
Kryjąc złote nadzieje w zapomnienia grobie.
Znów był sam – choć był wyższym nad wszystko dokoła –
Był dumnym i chłodnym – znienawidzili ludzie. –
I choć chmura tęsknoty nie schodziła z czoła –
Lecz zapomniał się – skłamał – i utonął w brudzie....
A świat co? świat! dobił do ostatka
Zwiał wyrok i młodzian utonął w zadumie –
Patrzył chłodno jak burza zrywa listki z kwiatka....
Czuł że serce nie w piersi, tylko w zimnej trumnie.
I długo tak marzył jakby się coś śniło
Wspomniał Matkę, braci, krewnych i ojczyznę –
Marzył raz – gdy życie w piekło się zmieniło –
Wygnał w sercu zgoić niezatartą bliznę. –
I znów nędza okropna przed oczy stanęła
I w szpony swe i duszę i ciało wzięła –
I znowu zagłodzony złorzecząc i Bogu
Pukał do drzwi możniejszych chwiejąc się na progu –
I wtedy biedną duszę co niegdyś marzyła
Dzika śmierć samobójstwa jak grotem przeszyła! –
Lecz i wówczas zawrzało Hamleta zwątpienie,
Że jest lepszem od śmierci najgorsze istnienie.
A świat co? świat! zapomniał o wszystkiem –
Ledwie kilku wybranych dłoń mu podawali –
Burza losu miotała nim jak zwiędłym listkiem
Drżący obojętni na nędzę patrzali! —
O czemuż nikt nie pojął że Poety dusza
Całą piękność natury w głębi swej zamyka –
Czemuż nikt nie pojął że nędzy katusza
Zabija myśl – i ostrym cierniem ją dotyka! —

Lecz i któż miał pojąć? próżne są wyrazy!
Wnet na własnej ziemi niebył nikt prorokiem! —
Któż tak ścieżkę żywota przebiegnął bez skazy
By i śladów nie rzucił za zrobionym krokiem?...
O biada temu kto nie z własną wolą
Lecz z złudną nadzieją leci w świat z otuchą! —
Musi z szczątków swej łodzi złamanej niedolą,
Rzucić zimne przekleństwo na dwa brzegi życia!! —

Bohaterem tego opowiadania ja byłem, choć w niem znajdzie Pan wiele wód na których łatwiej literaci gotowi by się rzucić jak niegdyś Filistyni na męczonego Samsona — jednak z prawdą choć trochę odpoetyzowaną znajdzie tam Pan w każdem wierszu, gdyż skorzystam się ośmielę nie popuszczać cugli szalonej imaginacyi, nie wybiegać z nią pod niebo i [illegible] [illegible] tej roskoszy żeby Pan nie wiedział w tych zimnych od rana mego pobytu w [illegible] Galicyi. Gdyby papier, pióro, atrament i wszystkie możebne i niemożebne przyrządy do pisania, jako niespodziewany wypadek pochłonął w tym miesiącu w którym się na niczem nie znajdę — wśród mnóstwa wielu przyjaciół.... gdyż [illegible] dole i [illegible] [illegible] [illegible] lub obijać kanapy, przez stołki się stanik pochebnym — a niemogąc pisać — nietylko niebyłbym [illegible] ludzi, lecz nawet im równym... to jest byłbym jednostką nicością wśród popiołów z przyrządu do pisania...

Gubię się w domysłach i pojąć niemogę czemu wszędzie było mi znany jako tej ziemi obiecanej, ziemi Konstytucyi i swobody —! w Petersburgu żyłem w wyższem towarzystwie Rosyjskiem (woreow(?) te Moskiewskie) w Paryżu salony Pani Hrabiny [illegible] (dziedziczki Markizy de Noile) były otwarte stanie — żyłem prawda nad stan lecz wszędzie byłem sobą i znajdowałem życzliwych — dziś gdybym się domniedziono oturu(?) że ja wśród braci Polaków niemalem innego zajęcia jak sprzedawanie gazet, stróżem w Pomorzanach, ktoby by u zdziwieniem odszedł się w [illegible] i pisanie ktoby by wszedł do jego salonu z podobną nowiną — zabroniłby wstępu. A jednak to prawda. Gdy mnie w zeszłym roku piast(?) stary Wiktor z Warszawy do Petersburga — niewiedziałem — gdy przy pożegnaniu zapytała mnie P. Maria Delapiorte(?) dokąd jadę — rzekłem do Galicyi — poco? odrzekłem że tam są Polacy a ja, ja jak dziś nie Poeta tak tam chcę stanik być całym — uśmiechnęła się — przypomniała mi że mam roku dwadzieścia trzy — i radziła zostać w Moskwie niesłuchałem — pojechałem do Matki — i dziś mam rezultat mojej głupoty. — to jest mam temat do napisania ładnej komedyi — która bądź ulegnie się nie zmieniła w dramat — nie Pan, są bolesne tak dolegliwe w życiu człowieka — że nasyca [illegible] nadzieją stan niepewności — by co są dowodem cierpienia, przestają płynąć w tej chwili, i razem przymusowy przeżyta rozpacz w odrętwienie, niekiedy pokój na tej których nie jest w stanie zadynać(?)!.. — oto obraz mej duszy wierny i prawdziwy choć nader bolesny i smutny.

Dobro [illegible] opuszczą świat, odejść na węgierską granicę do Mikołajczyna [illegible] [illegible] mój towarzysz jazdy z Petersburga — tu ziemia w rolnictwie chyba umrzeć z głodu jak Homerus — przystać nie do wodzowi! Padnie pieniędzy [illegible] głodowe i mozoliste, [illegible] piękniejsze obrazowe [illegible] [illegible] kraju — może mówi mi się nigdy tak szybko — jak do — Galicyi. Tymczasem żegnam Pana — chodzimy chcąc rolę pisywać do teatru, lecz i to widać trudno — co robić — żyć trzeba — a życie takie ciężkie, i burzliwe —

Jeśli śmierć daje sztylet lub truciznę
Nie pojmiesz życia przerwane! —
A konasz prędko gdy mocna blizna
Cierpiąc [illegible] nieznane...

Lecz gdy jad żalu i rozpacz w duszy
Zrzeka(?) serce w ukryciu —
Zbłędną nadzieją że to się skruszy,
Umieraj marząc o życiu.

T. Padura-Baranski

rkps 9144

Bůh viděl Polsku poníženou, sdranou,
na skráni s věncem hlohu, v bolu s ránou
v snu těžkém dlela, jíž jak orlů tlumy
jen věštců pějíc stkávaly dumy
a výdůšilky. . – Tak viděl ji tak sníti,
tu chtěl ji rázem všecko nahraditi,
co trpěla i nachýlil se z výše,
na bledé čelo, jež se v bolu chvělo
a v agonii políbil ji tiše
V tom polibku na Polsky svaté čelo
všel tvořící oprudk, vzlet, krása, duha, síla
v tom polibku Tys nám se narodila!

Žal trpících i vítězících sláva,
zpěv naděje i velkých ozvěnů láva,
smích hrdliček ve hnízdě plném rosy,
čím člověk úpí, chvěje se a prosí,
čím jásá roven bohům ve své síle,

Čím tne na konec když dospěl cíle,
Čím stoupá za krok až ku žití zdroji:
v Tvém umění se v jedno přísně pojí,
jímž teprv vzniká veliký člověk celý
půl athleta a zpola básník vřelý.
V Tvém umění on vítá jitřní rána.

Ó kéžto dráhy buďiž požehnána!

Jar. Vrchlický
20. IV. 1891.

9144

Ach powiedz mi co to życie
Archaniele mój!
Jestto silne serca bicie,
Żwawe oko, myśl wysoka,
Oręż w dłoni, kwiat na skroni,
To jest ta chwila radosna,
Bo to młodość, bo to wiosna,
Bo to marzeń rój!

Czy powiedzieć co jest piekło,
Pozwoli ci Bóg?
To jest życie co w brud ściekło,
Znak Chrysta, starty z czoła,
Młodość stara, martwa wiara,
To cierpienie bez świętości
Twoje serce bez miłości
I w Ojczyźnie wróg!

Lecz cóż Nieba Archaniele
Odpowiedź mi daj!
Jestto życie w arcydziele.
Co marzone — uiszczone,
Co kochane — pozyskane,

To jest ta twoja pieszczota —
To jest chwała, to jest cnota
Ach i wolny kraj!..

Zamknięcie Cyrku

/ Scena z początku V wieku Chrześcianstwa /

W amfiteatrze tłum legł różnowzory:
W poczesnem miejscu, w cieniu baldachimu
Ze Stylykonem siadł Cesarz Honory,
Władca imienny, z istnym panem Rzymu.
A tłum uważnie umysłem i okiem
Patrzy w arenę, kiedy dzikim krokiem
Wstępują rzędem nagie gladiatory.

Rzym coś posmutniał po bogów utracie:
Nad katakumbą świta jutrznia chwały,
Chrześcianizm wygrał sprawę swą w Senacie,
Forum i Kurya dawno oniemiały:
Cóż zasię robić, kiedy Rzym się nudzi?...
Dać ku rozrywce mu ofiarę z ludzi.

Póki był młody, wtedy i świat cały
Było mu nie zbyt: dziś ma inne cele,
Dzisiaj staruszek nie żąda tak wiele.
On zmordowany podbojami świata
I przeczuwając dolę finiksową,
Pragnie spokoju na swe stare lata:
On chce się bawić nie mądrować głową;

A czyż zabawka milszą mu być może,
Jak gdy wnętrzności brat bratu rozporze?
Bo nazbyt długo dla jego zabawy
Z łaski cezarów lał się potok krwawy,
Tak, że mu dzisiaj na widok areny
Oczy się iskrzą jak ślepie hijeny.

Trąby, bębny hasło dały,
Występują zapaśnicy:
Jo, io! gród widzicy
Grzmi, aż cyrk się trzęsie cały.
Dwaj szermierze idą śmiele,
Wraz się rzucą, i po chwili
Jak serdeczni przyjaciele
Pierś do piersi przyłożyli,
I tak dłońmi splecionemi
Wzajem chcą się zgiąć ku ziemi.
Obu krwią nabiegły żyły,
Obu krwią nabiegły oczy;
Ale równe obu siły,
Nieruchomy bój się toczy:

Rzekłbyś patrząc w nich z oddali,
Że ci ludzie skamienieli.
Lecz z ich oczu i z ich twarzy
Widać walkę straszną, długą:
Siła siłę równoważy,
I pot wrzący kipi strugą.
Który padnie temu biada!
Puszczą ręce i odbiegą,
I znów jeden na drugiego
Z zaciśniętą pięścią wpada,
Że aż kość o kość zachrzęści
Pod żelaznych ciosem pięści.
Gęste razy lecą z góry...
Lud z roskoszy aż się pieni,
Bo już, już z przeciętej skóry
Piasek cyrku krew rumieni.
Jeden wreszcie na kolano
Przyklakł, blednie i upada;
A śmierć widząc niezbłaganą,
Malowniczo członki składa,
By w obliczu władców świata
Bez skrzywienia i bez jęku

W ślad Cezara lub Torkwata
Umrzeć, w całym śmierci wdzięku.

W tém, kiedy oni bój kończą zajadły,
Razem gdzieindziéj oczy widzów padły.
Mąż siwowłosy pomarszczonéj twarzy,
W któréj miłości cichy płomień żarzy,
Mnich, w pustelniczéj zbliża się odzieży,
Staje w pośrodku krwią zlanych szermierzy,
Ręką cyrk cały przeżegnał do koła,
I do przytomnych wielkim głosem woła:
„W imię Chrystusa Zbawiciela świata
Porzućcie bracia! te sromotne sprawy.
Godziż się ludziom dla sprośnéj zabawy
Na rzeź publiczną wyprawować brata?
Dziwny to widok między chrześciany
Gwoli rozpusty gladiator chowany:
To grzech i zgroza w chrześciańskim świecie!
Tedy was błagam braterskiemi słowy:
Potłumcie owe pogańskie narowy,
Czyńcie pokutę, bo śmiercią zginiecie.
Wróg na was idzie: więc nie kuście Pana,

Bo krwią się jedno umywa krew rozlana;
A straszną będzie tym sądu godzina,
Przeciwko którym staje grzéch Kaina.
Jakoż myślicie? lud srodze się żali,
Gdy mu kto posąg na ziemię obali;
Alež, zaprawdę, czém ten posąg? – niczém,
Krom bóstw fałszywych kamiennem obliczem;
A człowiek, który jako w duszy święty,
Ma być obrazem prawdziwego Boga,
W rodzonym bracie napotyka wroga,
Który z dzikiemi równa go zwierzęty,
I dla igraszki krew mu toczy z serca.
Jednaki grzesznik – świadek czy morderca.
Obywatele!.. mnich wam przypomina
Błogosławione prawo Konstantyna:
Zamknijcie cyrki, nie czekajcie pory,
Gdy sam Bóg na was naśle gladiatory,
Których ramienia moc wasza nie wstrzyma;
Gdy zdziwionemi ujrzycie oczyma
Przy blasku gromów zewsząd łuny krwawe,
Co wzrok wasz olśnią i przerwą zabawę."

Przestał i postać schyliła się drżąca.
Przez chwilę jeszcze słuchacze milczeli,
Lecz wnet cyrk ryknął - i z piersi tysiąca
Okrzyk się wyrwał jak z jednej gardzieli:
-„Ukamienować!” i tysiączne dłonie
Gradem kamieni sypną w starca skronie,
Tak, iż niebawem kamienna mogiła
W środku areny ciało jego skryła.
Jeszcze na zwłoki lud pędził jak wściekły,
W tém wstał Stylikon i skinieniem ręki
Pogroził tłumom, i tłumy uciekły
Jak niedoperze przed światłem jutrzenki,
A stary Wandal rzekł cichemi słowy:
„O podły ludu, krwiożądne półtrupie,
Co wieńcem zdobisz potworne i głupie,
A mędrców święte kamienujesz głowy!
Jam chciał do życia przyprowadzić ciebie,
Dźwignąć i soki zasilić świeżemi,
Lecz któż cię zdoła ocalić na ziemi,
Gdy snadź twą zgubę Bóg zapisał w niebie.
Nie nam to zwalczać moc Jego wyroków!
Gdzież ten lud zajdzie po trupach proroków?...

Na kartach pargaminu klasztorna kronika
Przekazała potomnym ów czyn pustelnika:
Miał on w górach Cylicyi Telemacha imię;
A słysząc, że na festy zanosi się w Rzymie,
Szedł z różańcem u pasa, w pokutnej oponie,
Powstrzymać od okrucieństw błędnych braci dłonie;
I stało mu się zadość. Rzym w późniejsze lata
Chodzi tylko w zapasy w wielkim cyrku świata,
Lecz chowani do igrzysk nie stają szermierze,
Odkąd duch męczennika wrót areny strzeże.

To Madame Modjeska
I would dedicate these allegories, if she would deign to permit me, since I know that the ideal underlying both is the one which informs her life, and only my failure to express it can make possible that she will not understand and appreciate it.

Otto of Roses.

I have a fancy: — of a king to tell
Who in his land in the far East did dwell
'Tis but a fabled king; and so may I
This marvel tell of him — he did not die,
But over all his people watch would keep,
A constant watch, that was not known to sleep.
And all the records of his ancient land
This king did solely keep, in his own hand.
To every subject he was wont to give
For portion, wherein each alone must live,
A garden fair, whose only flowers were found
In roses that did bloom the whole year round.
And in his rose-garden must each one spend
His whole life; and when that was come to end
The spot was left all desolate and bare,

– Should not be seen a trace of rose-bloom there;
For every flower in withering died away
Completely, and no rose outlived a day;
But, as they faded wondrously their place
Was filled by lovely buds of equal grace,
And every day each new bud would unclose,
And blossom forth into a perfect rose.

Now, of this rich and unexhausted store
Each owner worked his will. There were, who wore
Their very life in ecstasy away
Gazing upon the roses, day by day;
For herein lay the magic:– each fair flower
Mysterious fascination had for dower
– In such sort, that when once a look was bent
Upon its beauty, with sincere intent
To see into it fully – nevermore
That look might be reclaimed; though each
flower bore
The self-same aspect, and did but renew
The charm of yesterday – the vision grew
Not sated, but incessantly would dwell
With greater wonder on the tireless spell...
But there were some who never this delight
Tasted entirely; never fixed their sight
With that adoring, undivided mind

Which was required in all who wished to find
In contemplation of the beauteous flowers
The bliss which should absorb their life's long hours.
These, comprehending not, did ne'er attain
The rapture possible for life to gain;
These, in their garden wandering round and round,
Always the same monotonous beauty found,
Whereof, at last, they wearied. These did die
Like as the others; and alike did lie
Their gardens, desert now, and did display
No relic of the lives that passed away;
The brief enchantment of that summer joy,
The dreariness of that dull sense alloy,
Had vanished, with the roses, and no breath
Lingered of either, to requite their death.

But those who lived and died thus, to the king
No tribute for his bounty e'er could bring;
In them the lost result of all his care. —
And yet, his kingdom he with hopes most fair
Had founded. Unto him was its sole worth
In this: — an exquisite perfume all on earth
Transcending, which could be alone distilled
From roses, he delighted in; and filled
His palace with most costly vessels fair
For treasuring this mystic perfume rare

Which he did love. And for that great king's sake
His true and loyal subjects glad would make
Their life one toil 'midst their scent-gifted flowers,
And, if fulfilment of their striving hours
Repaid with but one drop of attar sweet,
To the king's love 'twas compensation meet,
But, for one drop the toilers must destroy
Innumerable roses, and no joy
Of their own beauty would the flowers yield more,
For all the energies, which had before
Been free, and in enjoyment wonted spent,
Must be abstracted, and to one task bent;
And every flower that rose to longing light—
Be sacrificed, ere it had brought delight.
And O! the saddest yet remains to tell:
-Not all had skill, and few could use it well;
Before the needful knowledge they might gain,
Thousands of roses must be crushed in vain.—
Alas! the weary hours of labour lost!
The end achieved, ah! at what painful cost!
And oft too oft the effort of a life
Might at the close scarce triumph in its strife;
Too many an anxious life, of joy bereft
Has but one little faint, faint scent-drop left!

And these lives too, must utterly at last

Pass away as those other lives had passed.
And all the gardens have the self-same fate;
All are of bloom and scent now desolate,
The roses that were to the full possessed,
That made their owners every moment blest,
And those which never were enjoyed, (each one
Being rendered up like to a gift unwon)
Are gone; — no roses, and no lives remain;
Not aimless pleasure, and no cometh pain.
... So saith the tale. But it is not all told;
For daily did the king his jars of gold
Open, to add to that rich store within
Which to his purpose did those subjects win
Who patient did their lives of sorrow spend
In the attainment of that changeless end
For which the everlasting ruler chose
Each toiler, and each garden, and each rose
And endless joy he had, increasing still
As more and more his priceless urns did fill
With the essence of those precious lives, and sure
Infrangibly those vases must endure
Wherein the king yet guards with tender care
His treasure — — for eternal is that fragrance rare!

This fancy is a parable indeed — -
I wonder, is its meaning hard to read?

E Jatto.

A Sculptor left the world, and hid himself
In the darksome Stillness of a lonely Cave, —
Because whatever patience he could steal
From the distraction of out-thronging life,
Whatever constancy, whatever Strength
In his Capacity were — could only be
Of readiness to the endowment of his nerve
In striving with the chisel. For all else
His heart, his brain, his soul, were destitute.
He had in fancy a conception pure
To whose embodiment all his years were strained,
And many a tentative, with labour dire
Attained, of the achievement falling short
Was wearyingly rejected. Still his aim
Perpetual and persistent lived in him
And animated all his fragment work,
Which nearer grew, with each development,
Nearer and nearer, to the standard form
By his spirit inexecutive devised.
To supplement all yet presentments known
To feasible materiality — —
Ever before his sight remained the block
Experimental, whereof from day to day
He carved fresh lineaments — restored, or
changed

By chance, or inspiration sudden-rash,
Marred, modified, or perfected some curve
Of indentation. — Always that same stone;
He could not disenchain his will from it,
Could not divest it of its thralling power
Of fascination. Other marbles lay
Around him, ready for incessant use,
Inviting to new trial; but the thought
That in the one outward form had shaped itself
With more and more distinctness, growing yet
As that one form its impress had received
In subtlest variation of its mood,
Had all inseverable enwound itself
With that identity; the one became
Type — necessary as invincible —
Even self of the other's very potency!
He could not take new clay, and mould anew,
He could not cleave new marble, in the hope
Of forcing from it more conformity
To his model. To his superstitious awe
And love of his creation, that had seemed
Like to a shattering of the elements
Of his divinity in its idea.
And so, with tremulous or with furious strokes,
Obliterating oft, annulling oft,
The effect wrought heretofore, he strove, and strove,

— Got! in what anguish of bewilderment,
What slow inertness of despondency,
What desperateness of incapacity—
In what dissatisfaction, what revolt
Of the o'erstretched intensity — to win
Expression for his Secret! In the work
Abandoned to absorption, while its charm
Held o'er him absolute dominion,
Even, assured, denied not nor disturbed
He felt no outward want: he only asked
For time and leisure to work out his work
Free from disdain of life and scorn of men.
Moved by that impulse irresistible
He felt no other eagerness and knew
No other possible source of hope, or joy
Of love or wish, of earnest or of dream.
. . But not one equal state of rapture blest
Was his: no! that had been too much reward
For his desertion of earth's duties, left
By him who could not bear them, would not take
The meed of their avoidal, in the world
Allotted by the doom of broken life
And thwarted schemes! For punishment, he had
His intermittent fits of restlessness,

His hopeless inanition: though apart
From interference by the common cares
Of worldly disappointment or defeat.
Failure of purpose threatened him too oft,
Impossibility to render e'er
In form his long conception, perfectness
In the ideal prisoned, seeming bound
Too fast for loosening by the arduous use
Of frantic human spell importunate
Labouring to wring it forth, and give to light
Its declaration impermutable!
Cruellest was the doubt in his own powers
Which made him wonder if he had done well
To put himself aside, give himself up
To this one mission – if it were in vain!
– If never from the frenzy of his toil
Aught should be realised, or that which were
Were inapproximate to utterance
Of the master-thought, by weakness thus betrayed,
Thus travestied by him, incompetent,
Unworthy of his self-arrogated task.
Sometimes the lethargy of such despair
Feebled his hand; sometimes the appalling strength
Of this humiliating horror drained
His fancy of its fire. For many days
He would be listless, and not touch his work,

Believing that its inspiration quite
Had gone from him; that all which he had done
Was worthless – in its incompleteness left –
A mockery of the half-expressed idea
Whose meaning whole must be impossible
To force into suggestion. Then it seemed
Naught was there more for him but to relapse
Into passivity; to relinquish strife,
Succumb to death, – and leave the work undone.
Yet even in such a stupor – in the midst
Of such irresolution – swift a thought
Would glow on him; a throe assert itself
Compelling manifestation. On the eyes
Wearily gazing – as half magnetised,
Still on that form they kept their wonted gaze
Dilated, moveless – an unconscious flash
Would lighten; and the instinct of desire
Incite him to fresh work – addition mere
Of detail trivial – whereat the old force
Returned in temporariness; once more
The ideal, brief forsaken, all in all
Became; the deadened passion raged anew;
The abstraction claimed all his vitality;
The fervour animated him; the stir
Of every motion in him flamed to zeal. . .
But life hath term; he never saw the ~~end~~ end

He could not measure limit definite
To his attempt progressive to be set:
And how, if death should break an interval
In its successive stages? Never hence
To be resumed? — What were there then, but wreck
Instead of monument! What were there left
Of that profusion never utilised?
What sign to men should ever pass from it!
Into what sympathy should ever be
Received its message! Or what thought should be
Bold its intended function to divine,
And carry it farther yet into idea?
—. Such questions could not come into account,
They might not stem the flood impetuous
Of promptings of the genius, while its sway
Was dominant. — — And yet —
The artist died
In fact. . . . Perhaps that which the moment left
Was yet unfinished; or perhaps it stays
In perfect beauty fashioned to a whole,
Still unrevealed — waiting until some day
A man shall find it, and believe in it,
— And then — — it may be seen.
The work remains.

Each life hath its dark cave, where hith hid

Some sculpture – either finished, or begun,
Result of secret travail in spirit-depths;
And either it is brought to light, some day,
And the world has it, and its guardian-art
Keeps it amongst its torsos, so to make
Model for many – else, being never known
It rots and moulders – – –
But the work is done.

M. E. P.

Bajka

„O świni i o chłopie".

Opowiedział Jan Sabała,
zapisał B. D. –

„Kie pán Bóg zycie ozdawał ludziom i sytkiemu stworzeniu, to kciał świni, przepytujem, dać nádługse zycie. Świnia przysła i dziękuje ze ona nie stoi o długie zycie, ba kce krótkie a dobre. – Pan Bóg sie ji nie sprociwił – a wzion i dał to długie zycie chłopu – i chłop do dziśka to świńskie zycie dozywa, co go świnia nie kciała, ino choćkie na starość, kie robić nie moze – a biéda go bija, to tyj świni zawidzi, ze krótkie zycie ma, ba nie takie twarde jako jego". ——

9144

III

Bibl. Jag.